



Dębski Eugeniusz

# Moherfucker

RUNA

Wydanie I  
Warszawa 2010

Copyright © by Eugeniusz Dębski, Warszawa 2010

Copyright © for the cover illustration by Wojciech Ostrycharz

Copyright © for the interior illustration by Maciej Dębski

Copyright © for the map by Krzysztof Papierkowski

Copyright © 2010 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Karolina Pawlik

Korekta: Maria Radzimińska

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o. ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2010

ISBN: 978-83-89595-69-0

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.  
Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:  
Agencja Wydawnicza RUNA  
00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436  
tel./fax: (0-22) 45 70 385  
e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową: [www.runa.pl](http://www.runa.pl)

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[EPILOG](#)

*Podziękowania najserdeczniejsze chcę tu złożyć mojej żonie, Beacie, która nie dość, że wymyśliła rzecz w tej książce najlepszą: tytuł, to bardzo aktywnie uczestniczyła w jej pisaniu, redagowaniu i poprawianiu. Zachęcała i stymulowała mnie do pracy. Włożyła w powieść wiele energii i – co dla mnie najważniejsze – serca, za co muszę i chcę Jej gorąco podziękować. Równie intensywnie zachęcała mnie do pracy moja mama, Jej także dziękuję serdecznie. Te dwie kobiety zrobiły, co mogły, żeby powieść powstała, i to jak najlepsza. Jeśli się udało – to ich wielka zasługa. Dziękuję.*

*...Kobieta-motorniczy szarpnęła elektryczny hamulec, wagon osiadł z nosem przy ziemi, potem błyskawicznie podskoczył, z brzękiem i łoskotem posypały się z okien szyby. I wtedy w mózgu Berlioza ktoś rozpaczliwie krzyknął: "A jednak!".*

*Raz jeszcze, ostatni raz, mignął księżyc, ale rozlatujący się na kawałki, potem zapanowała ciemność. Tramwaj najechał na Berlioza i na bruk pod sztachety Patriarszej alei wypadł okrągły ciemny przedmiot. Przedmiot ten stoczył się na dół i podskoczył na kocich łbach jezdni. Była to odcięta głowa Berlioza...*

*Michał Bułhakow "Mistrz i Małgorzata"*

*przekł. Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski*

# ROZDZIAŁ 1

A ja chciałem sprawdzić, jak rysuje moja kamera w iPhone - tłumaczył Locha, dryblas z podrapanym nad prawym okiem czołem. - Wyszedłem na korytarz, bo tam było jaśniej, tak? W klubie ciemno jak w dupie po kaszance, no i zaczynam kręcić, a tu wypada dwóch i po ryjach się walą, i to tak bez czucia, na chama, do tego wybiegają jeszcze czterej. Napierdalanka jak w amerykańskim filmie, jucha wali po ścianach, tak? Zęby się sypią... - Strzyknął śliną przez szparę w zębach. - Chciałem uciekać, żeby mi kamery nie zarabali, tak? Ale już się nie dało, od drzwi wpadło jeszcze dwóch i walą tych z Pawłowki...

- Kurwa, no to w kiche! Im się należy od dawna, łażą do klubu, jakby był ich, a przecież... - wtrącił się głaszczący dotąd srebrnego irokeza puciołowaty chłopak.

- Te, zamknij się! - rzucił, przeciągając się, Arkasza Wazniecowa. - Niech Locha skończy, i tak nudno...

- Nudno? Ja tam w pory waliłem...

- Zawsze walisz... - Machnął ręką Arkasza. - Gadaj, no?

- No szyli tych z Pawłowki równo, kilka glanów i już był spokój, ale Pawłowka się dowiedziała i wpadli, i teraz ich było więcej. Dawaj malować ryje braciom Bieriezowym! Jaja jak cholera, ale ja nie mogę wyjść, bo przy drzwiach największy kocioł. I myślę: jak stoję, to już kręcę, pokażę chłopakom, tak? I nagle z dyski wypada jeden, nie znam go, ale ślepi na mnie i ryczy: "Ty, kurwo, będziesz na Youtubie filmy puszczał? A nas *mienty*<sup>1</sup> skotłują? I, skurwysyn, wyciągnął pasek, a klamra półtora kilo, i na mnie. I by mnie zabił, ale taki karczek z Bieriezowki capnął go i jak nie przyjebie w zgryz! Tamtego zdmuchnęło pod ścianę, leży i maluje podłogę juchą, a ten byk ryczy do mnie: "Kręć, jebana twoja, i niech mi tylko ktoś kamerzystę, kurwa, ruszy!". Tak? Kurwa, jaja na maksiora, ale nic - kręcę. I nagle jeden z podłogi, z Pawłowki, krzyczy: "Tak, nie ruszać, chuje, kamery! Dowiemy się potem, kto zaczął!". - Pochylił się w spazmie śmiechu.

Towarzystwo ryknęło na cztery głosy.

- I jak? Oglądali?

- No jak!

Podrapany dryblas nie przyznał się, że byk, który uratował mu czerep, podszedł do niego po bójce, gdy patrol *mientow* zbierał co bardziej cherlawych

uczestników rzezi, i wyciągnawszy rękę rzucił: "Karta!". Wyjętą z aparatu kartę, która na jego dłoni wyglądała jak znaczek na kopercie, wrzucił do kieszeni, zapomniawszy natychmiast o jej poprzednim właścicielu.

- Ale, blad', przerzuciłem koniec na wewnętrzną pamięć - powiedział mściwie podrapany Locha. Natychmiast uświadomił sobie, że tymi słowami jakby przyznał się, że zabrali mu ośmiogigową kartę. - Daj papierosa! - rzucił szybko do stojącego najbliżej Kolki.

Ten się skrzywił: "Jakbym miał?..." i nie odezwał się nawet.

Przygnębienie...

Przygnębiające petersburskie podwórko - ogromna studnia obramowana dziesięcio- i dwunastopiętrowymi blokami, z kępą obowiązkowych brzoź, chyba samosiejek, niezbędnymi ławeczkami, na których kobiety obgadywały niegdyś wszystko i wszystkich, ze stołami, na których nie tak dawno jeszcze, za Związku Radzieckiego, mężczyźni rżnęli w "kozła", czyli w domino, z pistoletowym trzaskiem dostawiając triumfalnie ostatnią kostkę, gwóźdź do trumny przeciwnika.

Teraz wszystko to podupadło, staruszki albo wymarły cichutko, albo boją się wyjść, nasłuchawszy się makabrycznych opowieści o morderstwach, popełnianych z reguły na ludziach starych, niedołączonych, słabych i wcale nie bogatych. "Lucjo Wasiliewna, słyszałaś? Zabili Fiedosiję, tę spod sto czternastki, zmiażdżyli czerep żelazkiem, prawie jak u Dostojewskiego! I za co? Osiemset rubli zabrali. O-siem-set! Czy to nie koszarne?!".

Stoły zmurszały. Wódki się już nie pije pod surówkę z ogórków i pomidorów, łaskawie wykonanej i podanej przez okno przez którąś z małżonek. Niektórzy nie piją, bo piją gdzie indziej, innych nie stać na częstowanie.

Tylko krzywe ławeczki trwają jako tako. Wykonane z "nadwyżek" posiadanego betonu i grubych prętów czy rur, opierają się kopniakom, podpaleniom, szczynom psim i ludzkim.

Z reguły dwie czy trzy osoby mogą na takim szkielecie w miarę wygodnie posiedzieć.

Na jednej z takich mumii siedziało pięciu, dwaj inni stali, opierając się butami o krawędzie ławki. Chwilę temu toczyła się tu zwyczajna młodzieżowa rozmówka, o dupeczkach, o tym, kto się kiedy upaprał do śmierci, o przewadze piwa klińskiego nad pierdoloną, przejętą przez Turków i spaskudzoną okrutnie Bałtiką. Skończyła się opowieść, kończyły się fajki, kilka sztuk miał jeszcze tylko Igor, pozostali usiłowali go przekonać, że powinien je zagospodarować teraz i tu, a potem jakoś się znajdzie nowe.

- *Nie pizdi, Igariok!* - rzucił najbardziej zgłodniały nikotyny Saszka. - *Szczas naszkaliajem! Dawaj, pasasiom!* [2](#)

Nagabnięty, niechętnie, ale zdając sobie sprawę, że przeciąganie doprowadzi



do niezręcznej sytuacji, w której ci bez fajek stworzą przeciwko niemu koalicję, a to zaowocuje w przyszłości znaczącymi konsekwencjami, sięgnął do kieszeni i wyciągnąwszy jednego dla siebie, paczkę z czterema ostatnimi rzucił Saszce.

Zapalili.

- Kijowe te lighty... - powiedział jeden z pozostałych, który mimo krytyki zaciągał się dymem z wyraźną przyjemnością. - Nasze lepsze! O, na przykład...

- Cicho! - Saszka, przekręcił głowę i wsłuchał się w rozświetlony słabymi i rzadkimi lampami mrok. - Zaraz kupimy fajki!

Prowadząca przed blokiem asfaltowa droga przypominała wykonany dla dzieci model powierzchni księżycowej. Ostrożnie omijając dziury, kuśtykała po niej w zapadającym zmroku, z trudem trzymając się gładkiej powierzchni, przygarbiona staruszka. W chudej dłoni trzymała wiotką torbę z kwiecistego niegdyś plastiku, dno torby obciążała kostka masła, czy raczej margaryny, może jakieś herbatniki.

- *Staruszka nie spiesz, dorożku pierieszła!* - zaśpiewał Saszka, oderwał się od towarzystwa i niedbałym krokiem ruszył na spotkanie staruszki. - Babciu, pożycz dyszkę, co?

- Zejdź mi z oczu, paskudo! - zachrypiała babusia. - Znam cię, Aleksander, od majtek obsranych cię znam, nicponiu. Matka tu je wieszala, gówniarzu! - dodała nagle z mocą.

Wysunęła rękę, by usunąć z drogi młodzieńca.

Koledzy z ławki zarechotali. Saszka ze złością zacisnął zęby.

- Pilnuj swoich majtek, stara! - warknął.

Szybko przeszukał wzrokiem babcię. Portmonetka mogła być w torbie, tak - nie masło czy serek, tylko staruszkowa portmonetka! Wyciągnął rękę, by wyszarpnąć torbę, ale ręka babci żwawo uskoczyła. *Awos'ka* <sup>3</sup> zniknęła za wypłowiłym prochowcem. Prawa piąstka staruszki dziwnie szybko wysunęła się do przodu i boleśnie wbiła się w dołek napastnika. - Ach, *job!*

Saszka jęknął i pochylił się, przyciskając dłonie do splotu słonecznego.

Babunia raźnie obdreptała skulonego reketiera i pomaszerowała w kierunku najbliższej bramy. Ławka eksplodowała rechotem. Bezlitosne kółko młodzieżowe zawsze ochoczo wykpiwało potknięcia każdego z członków, nawet niewątpliwego przywódcy grupki. Saszka posiniał ze złości, podskoczył do babci i chwyciwszy ją za kołnierz, szarpnął z całej siły do tyłu. Scenariusz był prosty: babunia wali się na plecy, może nawet przytrzyma się ją w locie, żeby nie pogruchoła sobie wszystkich pieprzonych kurzych kosteczek, wrywa jej się siatkę, a potem...

Potem wydarzenia potoczyły się kompletnie inaczej.

Babcia wyrzuciła ręce w górę, przekręciła się i z całej siły wbiła pięść pod

pachę napastnika. Ten wrzasnął, sparaliżowana bólem ręka odleciała w bok, ale niedaleko: babcia chwyciła ją, zgięła w łokciu i zakręciła jak korbą maszynki do mięsa. Całe ciało chłopaka wyleciało w powietrze, ale nie nadążyło za okręcanym przedramieniem. Oderwana ręka, chlustając krwią, wypadła z rękawa i pofrunęła w krzaki, a lecące ku ziemi ryczące ciało zostało uchwycone za głowę. Potworne szarpnięcie z przekręceniem, chrzest i chlupot, i urwany ryk bólu.

Skamieniali koledzy Saszki patrzyli, jak okrutnie dekapitowane ciało wali się na plecy i trzepiąc kończynami o asfalt, przesuwa się w ich kierunku.

Głowa potoczyła się w bok, uderzyła w krawężnik i poruszywszy ustami, zatrzymała się, opierając nosem o kawałek cegły, znieruchomiłe oczy zapatrzyły się w zalany krwią grunt.

Ktoś wrzasnął z całej siły, chłopak z irokezem pierwszy odzyskał władzę w nogach, rzucił się do tyłu, potknął o resztkę betonowej urny na śmieci, przewalił przez nią i nie wstając, pognął na czworaka przed siebie, byle dalej.

- Gdzie ja to widziałem? Gdzie? Mamo! Nie chcę! - W głowie Arkaszy Wazniecowa kłębiły się myśli, ale żadna nie podpowiedziała, by wziął nogi za pas. Stał skamieniały i patrzył. - W szkole?... Tak, lektury! *Mistrz i Małgorzata*... aaa... nie chcę! Odcięta przez tramwaj głowa... tego... jak mu tam... Porfiry Iwanowicz? Nie, to ze *Zbrodni i kary*... Berliozow?... - zaczął przypominać sobie szczątki wiedzy z literatury ojczystej.

Koszmarne babunia, w tej chwili wcale niewyglądająca na potulną stetryczną babcię, której kiedyś pomógł donieść nic nieważący chodniczek do trzepaka, dziwnie rozrosła się, zmieniła w jakąś niewyobrażalną modliszkę z kilkoma uzbrojonymi w cęgi czy nożyce ramionami, długie, zginające się do tyłu żucze nogi dwoma krokami przeniosły ją pod ławkę z wrzeszczącymi blockersami.

Potworne uderzenie cisnęło Arkaszą niemal pięć metrów w powietrze. Przeleciał je szybciej niż sformułował w głowie imię i patronimik śledczego ze *Zbrodni i kary*. Uderzył twarzą w słup - osiem zębów przysło i wyłamało się z dziąseł, chrząstka nosa wbiła się w mózg. To niemal zabiło szczeniaka, niemal, bo wcześniej zachłysnął się krwią z rozbitej twarzy i zadławił gruzem z zębów... Nim jeszcze zmarł, czterech kolegów z podwórka zostało poszlachtowanych straszliwymi jataganami szponów, którymi wymachiwała potworna babunia.

Pogotowie na wieść, że do zgarnięcia będzie pięć czy sześć ciał (dzwoniący po karetkę milicjant wykrztusił, że podaje liczbę zabitych szacunkowo, po przybliżonej ilości głów sądząc, bo reszta, pokawałkowana, leży na powierzchni wielkości kortu tenisowego), przyjechało w sile trzech wozów, pozgarniało ciała, przy okazji stwierdzając, że owszem, krwawych fragmentów jest ponad tuzin, ale ciał tylko pięć. Ani trzech lekarzy, ani żaden z piątki anatomopatologów dokonujących sekcji, nikt nie odważył się wysunąć jakiegokolwiek hipotezy, oznaczałoby to bowiem konieczność bronięcia swojej

racji, a żadna z tych osób nie chciała wyjść na – co najmniej – dziwaka...

Stojąc na podwórku szpitala obok prosektorium, siedemdziesięciodwuletni, dorabiający do emerytury patolog bez słowa wyrwał z ręki kolegi paczkę golden gate'ów, wyszarpnął jednego, omal go nie łamiąc, zapalił z trudem, z powodu drżenia palców, i zaciągnął się.

– Wiesz, jak byłem na studiach, za Stalina oczywiście, rozpuściło się wśród społeczeństwa wiadomość, że w oczach zamordowanego zostaje odbita twarz mordercy. *Job ich mat'!* I potem tyle ich, tych oczu wyrżniętych, widziałem, nie uwierzysz! Oni to łyknęli!

– Stiepanie Arkadiewiczu, po ci mi to mówicie? – jęknął młody kolega po fachu. – I tak wyrzygałem obiad, śniadanie, wczorajszą kolację i chyba nawet kotlet z zeszłego tygodnia!



– Mówię, Jura, żebyś wiedział, że nie chciałbym, żeby to była prawda, i żebym w oczach tych szczyli zobaczył to, co ich zabiło...

# ROZDZIAŁ 2

Wrocław nie aspiruje do miana miasta magicznego, to zwyczajnie cudowny konglomerat. Raz - metropolii, ale bez jej paranoicznych problemów komunikacyjnych i rzeszy nadętych biurw i biurwisynów; dwa - miasta zabytkowego, z licznymi, ale nie obłądnie licznymi turystami; trzy - miasta młodego, bo odbudowanego z powojennej równiny ceglanej i nasyconego młodzieżą, i miasta z doświadczeniem i mnogimi różnojęzycznymi władcami i włodarzami.

Piękne miasto, które opuszczałem sporo lat temu z niechęcią i krwawiącym sercem. I potężnym kacem.

Ale i tu znajdzie się jakieś gówno, zwłaszcza za kierownicą.

Przyjechałem do piastowskiego grodu w czwartek wieczorem, powitał mnie neon (Ne-ON!!!) "Dobry wieczór we Wrocławiu" przed Dworcem Głównym. Właściwie nie ucieszyło mnie to, mam na myśli przyjazd kolejną: trzy dni wcześniej przywoziłem tu większość swoich maneli, przeniósłem je do mieszkania przy Kwaśnej i ruszyłem do centrum. Zanim GPS złapał fix, zanim zorientowałem się, zanim przypomniałem sobie konfigurację - już pędziłem w przeciwną do centrum stronę. Zawróciłem dopiero na wysokości Hutmenu i roześlony pomknąłem do miasta.

Daleko nie dopomknąłem: z podporządkowanej uliczki przy stadionie wysunął bezczelny mitsubishiowaty pysk glacusz w wytwornym dresiwatym odzieniu. Mnie wybrał sobie na ofiarę! Bezczelnie uniósł lewą dłoń w geście protekcyjnego podziękowania, a tak naprawdę mówiąc: "Pierdol się, leszczu, państwo jedzie", i zaczął włączać się do ruchu. Przymierzyłem dobrze i przypakowałem mu, piszcząc oponami, w słupek; wgiął się urodziwie, ładnie przygiął się dach i para drzwi, na deser wysypał się przedni reflektor. I już kompletnie bonusowo spadła antena CB-Radia. Gdy wysiadłem i obszedłem przytulone do siebie wozy, nie omieszkałem przydepnąć magnesu podstawki, zgrzytnął pod podeszwą i pożegnał się z życiem. Rzuciłem, co prawda, palenie, ale jeszcze miałem w kieszeni czarne cienkie, wyjąłem jednego i zapaliłem spokojnie. Dresisyn wygramolił się z drugich drzwi, te swoje miał już na zawsze zaklinowane.

- Kurwa, człowiek, jak ty jedziesz, co? Nie widzisz, kurwa... - zaczął standardowo - ...że... - szybko oszacował mnie i nie powiedział "że wyjeżdżam, chuju", tylko: - ...że jest zwężenie i utrud...niony... wjazd? Tu się wjeżdża na zakładkę, kolego...

- Pies ci kolegą - powiedziałem, sięgając po komórkę. Cudem, naprawdę cudem dopadłem drogówkę od pierwszego połączenia. - Stłuczka, wymuszenie pierwszeństwa na skrzyżowaniu Grabiszyńskiej i Oporowskiej... - Tabliczka z nazwą ulicy wpadła mi w oko chwilę temu, zresztą przypominałem sobie: stadion, Oporowska, "Cała Polska w cieniu Śląska"... - Tak, jestem uczestnikiem, tym wymuszonym - meldowałem, patrząc w niebo.

- Sz-kurważ twoja... - syknął dupek, wyszarpnął swoje wypasione komórzysko z lisim chwostem, wielkości gomółki sera, i odwróciwszy się plecami do mnie, zaczął pośpiesznie meldować coś-komuś-po-coś.

- Dobrze, czekam.

Upuściłem papierosa, sięgnąłem po palmtopa (miał lepszy aparat niż komórka), wolno obszedłem naszą małą grupkę, metodycznie sfotografowałem swój wóz, potem mitsubishi, ostentacyjnie nie zauważając zaciśniętych warg dresiarza - sapał już mocno i nawet popluwał na chodnik. Potem wycelowałem w jego gębol i pstryknąłem mu fotę. Akurat ruszył na mnie, opuściłem rękę z Mio, gdy stanął przede mną z wysuniętym do przodu pyskiem.

Ach, jak ja lubię takie numery!

- Co ty, kurwa, se pstrykasz?! - syknął, cuchnąc modną cynamonową gumą. Już za to powinien oberwać w klawiaturę. - Co ty se, kurwa, pytam, pstrykasz? Jedziesz jak chuj przed weselem z jednym okiem w dupie i jeszcze będziesz...

- Proszę się uspokoić - powiedziałem na użytek przyglądających się nam dwóch kobiet i jednego młodego okularnika. - Wymusił pan pierwszeństwo...

- Tu jest zwężenie i remont, palancie! Nie widzisz? Nie widzisz? Gały ci wysrało? Na zakładkę się jedzie, jeleniu, na zakładkę! Jak nie *umisz*...

- Jeszcze raz powtarzam: wymuszenie to wymuszenie, nie mam obowiązku wpuszczania nikogo...

- Ty bucu warszawski! - ryknął i energicznie kiwnął łbem, oczekując, że przestraszę się jego pozorowanego, obliczonego na przestraszenie mnie, "Zidana".

Miał pecha. Jestem miłośnikiem *Złego*, oglądałem sześć razy *Zawodowców* i po kilka razy wszystkie filmy z Charlesem Bronsonem. Znaczy - kocham samodzielnie wymierzać sprawiedliwość w okolicznościach pozbawiających mnie wątpliwości, czy tak czynić należy. Specjalnie przykładałem się do ćwiczeń z walk miejskich.

Tak więc, gdy to gówno na podeszwach adidasa strzeliło pozorowanym bykiem, cofnąłem się odrobinę i pochyliłem głowę. Dziabnął mnie w czoło swoim nosem, i to - muszę przyznać - mocno.

- Ach! - powiedziałem i cofnąłem się z wierzchem dłoni przyłożonym do czoła.

Cymbał jęknął, chwycił się za twarz i osunął na kolana. Chyba kiedyś

trenował polski futbol, bo zjechał dokładnie "pod sędziego"; od strony trybun widzów rozległ się radosny chichot studenta. Odwróciłem się do nich i podniosłem palmtopa, cały czas kręcił się klip, zrobiłem kilka kroków, sięgając do kieszeni. Z daleka pokazałem im legitymację.

- Bardzo państwa proszę o swoje dane, do ewentualnego zaświadczenia o złamaniu przepisów i agresywnym zachowaniu sprawcy.

Kobiety zrobiły zrozpaczone miny, ale jedna pokazała dowód, student z radością podsunął legitymację. Zrobiłem foty dokumentów, podziękowałem, powiedziałem, że jeśli nie mają czasu, mogą nie czekać na policję. Kobiety chyżo czmychnęły, student pokręcił głową.

- Ja mam czas, w każdym razie chwilę mogę poczekać.

Poczęstowałem go papierosem, odmówił, ja zapaliłem. Kwasinos podniósł się z klęczek, sięgnął do kieszeni, ale mama nie nauczyła go nosić chusteczek, odwrócił się, liznąwszy mnie pełnym nienawiści spojrzeniem, ukrył za pokiereszowanym mitsubishi, skąd po chwili rozległ się odgłos przedmuchiwania złamanej przegrody, potem wyłonił się i zaczął wzywać odsiecz, płacząc się lekko w opisie sytuacji, w której przyjeżdżał skurwielowi z Warszawy i krwawi z własnego nosa. Nadszedła policja. Potraktowała nas sprawnie, zwłaszcza że klip wyraźnie pokazał, kto się rzucił na kogo. Odrzuciłem propozycję ugody, ustaliłem, że wpadnę na komendę po południu i przekręcę kluczyk.

Szczyście mi sprzyjało, silnik zaskoczył i bez przeszkód dotarłem do siedziby ABW. Stamtąd odholowała mnie polecona firma, dwa dni później przekazano mi siedmioletnią toyotę na cywilnych blachach i rybą na klapie bagażnika. Maskowanie jak cholera.



Miesiąc wcześniej odbyłem małą miłą rozmowę z Tupojem. Nie w agencji, nie. Kazał mi się zaprosić na piwo do "Skrzata". Skończyło się na czterech wściekłych psach i męskiej rozmowie.

- Słuchaj, Kamil, jest tak. Wiesz, że nie przepadam za tobą, jesteś wrzodem na mojej dupie. Ale gdybym miał wybierać: mieć kilka takich wrzodów albo spokój i gładki zadek, wybrałbym jednak to pierwsze. - Wziął pusty chwilowo kieliszek w palce i kręcił nim, co kilka stopni obrotu stukając o blat. - Tak, i wyniki miałbym chujowsze. Wiem. Mówię to, żebyś wiedział, że to nie ja się ciebie pozbywam. - Odchylił się, uderzył plecami o oparcie, kieliszek wykonał ryzykowny piruet, ale nie zwałił się.

Początek perory szefa wzburzył moje myśli i teraz kotłowały się malutkie, popiskujące, podskakujące i pokrzykujące: "Kto mi to zrobił?", "Dlaczego?", "Za

co?", "Kiego chu?" ...

- Prywatnie sędzę, że twoje nader przyjazne kontakty z Wielkim Bucem zza oceanu przynależą się komuś siedzącemu na znacznie wyższej grzędzie, a tu nagle taki Stochard zbiera ekstra-broń, gadżety Bonda, podziękowania, medale...

- Jeden, kurwa, medal. Nie zasłonię nim nawet dziurki od klucza! - warknąłem.

- Ale do emeryturki ci dosypie.

- Naprawdę sądzisz, że o tym myślałem, kiedy...

- Nie, nie sędzę. Ale ktoś, na przykład, sądzi, że ma pięć dych na karku, i że taki medal za działania jego podwładnego bardzo by mu przypasił, nie?

- Gównu mnie to obchodzi. Ze swojego kompostnika nie widzę, co się dzieje na dachu.

- I dobrze, bo tak to zostało wszystko w życiu pomyślane. Najpełniej i najpiękniej wyraża to genialne zdanie: "Masy proletariackie spijają szampana ustami swoich przedstawicieli". A ty nagle podskoczyłeś i chępnąłeś nieprzynależnego ci szampana. - Przechwycił wzrokiem kelnerkę i gestem zamówił to-samo-razy-dwa.

Odczekaliśmy, aż zamówienie zostanie zrealizowane i poprzednie kieliszki sprzątnięte. W popielniczce samotnie wylegiwał się cienki niedopałek czarnego marlborsa. Dlaczego papieros o połowę cieńszy, z cieńszym o połowę filtrem, bibułką, opakowaniem, kosztuje tyle samo, co jego dwukrotnie droższy w produkcji grubas-brat?

- Reasumując - ciągnął - przenosisz się na prowincję.

Sięgnąłem do cienkiej paczki i zapaliłem papierosa. Papieroska. Nie dlatego, że mi się chciało palić, ale żeby pokazać, że nie drżą mi palce.

- Za osobisty sukces i powód do twojej wdzięczności poczytuję sobie fakt, że nie wpierdolili cię do Gnojmiasta albo Srakowa, albo Piździenic. Jedziesz do Breslau. Wiesz, Krajewski, Dutkiewicz, Miodek, Gucwińscy... Studiowałeś tam, może masz jakieś dziuple... No, podziękuj i kończymy ten wieczór trzech ciuli...

Kurczę, mogło być rzeczywiście do dupy. Krakowa nie lubię, Gdańska nie znoszę, Katowice - ja pierdolę! Pokiwałem głową.

- Jeśli nie może być inaczej, to niech tak będzie. Doceniam twój wkład w moje miękkie lądowanie.

- No. Najlepszego. - Chwycił kieliszek i uniósł go lekko. - Tak prywatnie to radzę ci przycisnąć kogo możesz za Wielką Wodą i niech cię zabiorą. Na szkolenie, rekultywację, beatyfikację, cokolwiek. I już. I niech się ten dziadziu, co się zaślinił, posra z zawiści. Albo zdechnie, to się drabinka ruszy. - Wlał w siebie zawartość kieliszka, powtórzyłem jego ruchy, tak samo chuchnąłem. - Może i mnie ruszy. Wtedy i ty sobie wrócisz.

- Naprawdę wierzysz w taki scenariusz? - mruknąłem, wskazując palcem kieliszki i miną pytając, na co czekamy.

Skinął głową. Chodziło o kolejkę. Potem dodał drugie skinienie.

- Tak. Wierzę. - Podrapał się po brodzie. - Ty, Kamil, rzniesz cynika i Wielkiego Harry'ego Luja, ale jesteś miękki. Widzisz syf, wolisz jednak myśleć, że to poobiednia krostka. Siedzisz w firmie, bo się naoglądałeś filmów o walce Dobra ze Złem, i dobrze, bo jednak coś dobrego robimy. Moglibyśmy więcej. Gdyby sprzęt, procedury, przepisy, przełożeni... Dobra, robimy coś. I tak to lepsze niż nic. Ale warunki są takie, jakie są. A one są takie... - zająknął się. Po czterech wściekłych psach nie dziwota - ...jakie są. Ja w nie wierzę.

Kelnerka już czaiła się na moje spojrzenie, skinąłem głową. Tupolew cmoknął, splótł palce i wygiął je w drugą stronę, strzeliły stawy. Tylko tak dalej, a przejdzie na rentę z powodu reumatyzmu czy innego ischiasu, a nie na ciepłą emeryturkę. Dostaliśmy swoje psy. Wypiliśmy bez toastu.

- Jak to powiedział Wokulski? *Farewell, miss Iza, farewell?* - parsknął krótkim śmieszkiem, który miał... właśnie - co? Zamaskować wzruszenie? Nie, no bez jaj!

- Dzięki - powiedziałem. - Przeniosę się.

- Nie pytasz, co będziesz robił?

- Archiwum X?

Zdębiał.

- Skąd wiesz?

- Przestań. To, co wiesz ty, wiedzą we Wrocławiu. Co mogą dać do roboty zesłanemu z niemiłości facetowi? Będę robił gazetki ściennie, opiekował się witryną internetową?...

- Dlaczego witryną internetową akurat? - zdziwił się.

- Bo opiekowałem się naszą.

Rumieniec wypląnął mu na twarz. Milczał chwilę z opuszczonym żujem, potem zatrzasnął kłapaczkę i uśmiechnął się krzywo. On, szef i decydent, nie wiedział, jaki mam zakres obowiązków. Pogratulowałem sobie pomysłu i wymyślonej *ad hoc* funkcji.

- Dobra. To koniec - wskazał brodą kieliszki. - Nie będziemy sobie rozmiękczać pożegnania gównianą emulsją wódczano-dżemową. Łykamy i znikamy. Ja płacę.

Nie sprzeczałem się z nim na ten temat. Mnie też już nie smakowała wódka słodzona i ostrzona.

I musiałem zacząć się pakować.





Budynek ABW we Wrocławiu znajduje się nieopodal kultowego kina "Oskar", do którego kiedyś, za moich studiów, ciągnęła snobująca się na inteligencką młodzież na filmy trudniejsze od tych serwowanych w odorze przetłuszczzonego popcornu i wywołującej gremialne bekanie coli. Inna sprawa, że wcinają kukurydzę i popijały berbeluchą określone grupy widzów, umyślowo odstające nawet od przeciętnego konsumenta filmem *pappen*. Zawsze, gdy maszerowałem do kina, zastanawiała mnie nieprzystawalność tego dość ambitnego przybytku sztuki filmowej do otoczenia – sądy, areszty, komendy, prawomyślność, praworzędność i jurysdykcja. Przynajmniej na oko. Przypomniałem sobie, że czytałem w jakichś michałkach o nadgorliwości urzędników, którzy uznali, że znana każdemu wrocławianinowi postać z wagą nad wejściem do sądu musi mieć, jak to Temida, przepaskę na oczach, no, żeby była ślepa i... sprawiedliwa. Dzięki czujności obywatelskiej media zwróciły uwagę na fakt, że nie jest to Temida, córka Uranosa i Gai, pierwsza żona Zeusa, jedyna z pierwszej generacji bogów pozostawiona na Olimpie, tylko Iustitia, personifikacja sprawiedliwości. Na dodatek rzeźba jest autorstwa von Gossena, co administracja sądowa powinna wiedzieć, skoro kilka razy dziennie przemyka pod jej wagą i mieczem.

W ciemno uznałem, że kino musiało podupaść, jak wszystkie ambitniejsze, że Bergmana, Godarda i Chabrola nie ogląda się nawet tu, a może i w ogóle, ale i tak ucieszyłem się. Przewidując spore nudy w pracy, brak pracy w pracy, miałem nadzieję na podliftowanie swojej wiedzy filmowej właśnie w godzinach pracy bez pracy. Pion ochrony informacji niejawnych, jak żaden inny, pozwala na wykorzystanie go jako ślepego toru, na pogrzebanie delikwenta w tonach *bumagi*, spod której zwałów nie można się wygrzebać.

Myślałem bardzo szablonowo, sądząc, że wpakują mnie do piwniczki obok kotłowni, i tam, niczym polski Fox Mulder, będę sobie siedział i grzebał w informacjach powielanych po wielokroć, a może i ściąganych z Internetu, bo przecież tam ściąga się już wszystko oprócz majtek – taki żart! – będę więc grzebał, rozwiązywał jolki z przeceny, czyścił Gnata i tak dalej. Nie. Należy wystrzegać się szablonów. Przydzielono mi pokój, nie pokoik, na strychu, ale o charakterze piwnicy. To taka wrocławska *spécialité de la maison*: knajpa nazywa się "Strych", a mieści w piwnicy, albo odwrotnie, jeszcze nie byłem. Pokój nie był przygotowany specjalnie dla mnie, ktoś tu już kiedyś kiblował. Standardowe wyposażenie, za oknem kilkaset metrów przestrzeni. Po trzech dniach zrozumiałem, co mi najbardziej w tej pracy doskwiera: konieczność przemierzania całego budynku w drodze do mojej mansardy. I, oczywiście, tej samej trasy przy wychodzeniu.

Przewertowałem swoje zasoby pamięci i notatniki, ale nie znalazłem żadnych adresów ani telefonów, które pomogłyby mi osadzić się na nowo w stolicy Dolnego Śląska; niektóre były nawet aktualne, ale... Co – na wódkę z kolegami

ze studiów? Na kawę z dawnymi przyjaciółkami? Unikanie odpowiedzi, wykręcanie się od wizyt w domach z żonami i mężami, czekoladki dla latorośli... Oddałem się walce z ubezpieczycielem, co przyniosło niezłe wyniki, choćby w postaci naprawienia z ubezpieczenia chrypiącego od miesięcy odtwarzacza. "Przecież miał pan płytę w środku i grało, prawda?" – zapytał właściciel warsztatu, w którym moje auto czekało na klepanie, lakierowanie i polerowanie.

Poza tym zapisałem się do biblioteki – ruch emeryta – a z własnych zasobów nabyłem drogą kupna dwa kartony książek, na których lekturę nie miałem wcześniej czasu.

I mordowałem go, raz skutecznie, drugi raz mniej, ale jakoś mordowałem.

Obskoczyłem koncert Cohena. Nie dość, że ze sceny wiało czymś rewelacyjnym, to jeszcze zobaczyłem Roberta, z którym przez dwa lata dzieliłem stancję na Reja. Wyglądał ponuro, kiepsko, sinawo. Jakby trawiony kacem albo chorobą – zgrabnie zszedłem mu z widoku. Poza tym w tłumie – załzawione oczy kobiet, romantyzm w oczach mężczyzn – nie było znajomych twarzy. Zrezygnowałem z zakupu płyt z powodu megakolejki, potem plułem sobie w brodę, wracając do domu, a jeszcze potem wygrzebałem swoje dwie płyty i uznałem, że mogę – jak to mawiał Bogdan – kręcić z radości pejsy: zaoszczędziłem kilkadziesiąt złotych, bo premierowych numerów nie usłyszałem. Niejako siłą rozpędu wybrałem się na drugie wydarzenie koncertowe: Chick Corea i John McLaughlin. Tym razem miałem tylko przeżycia muzyczne, nie było znajomych, a powinni być, bo – jak podsłuchałem w dymnym piekle palarni – z takimi Polakami mógłbym żyć: zero złotych łańcuchów, dresów, piercingów, byczych karków. Tak, mnie też ta publika odpowiadała, ale przeciętna wieku nie skłaniała do optymizmu...

Następnego dnia po koncercie w Hali Stulecia zerknąłem do terminarza, dobrze pamiętałem: pięć miesięcy temu odbyłem rozmowę z Tupolewem, po czym zostałem wprowadzony przez Jerry'ego do tej odnogi naszego życia, o której wie tylko grubo poniżej tysiąca ludzi, a gdzie znalazłem, musiałem to przyznać, siebie nie oszukuję, kawałek celu do życia. Bo celu tego służba w ABW-erze mi nie dostarczała. Dostarczała pewnych mocy, wykorzystałem je do sprawdzenia, jak się ma, a miałem nadzieję, że źle, pani mecenas Samolej. Niestety, płonna nadzieja, założyła firmę consultingową, cokolwiek to w jej rozumieniu znaczyło, zmontowała silną paczkę i powoli wysyłała na zieloną trawkę konkurencję w Gubinie. No trudno, nie co dzień w naszych ogródkach świeci słończko.

Po tygodniu zdecydowałem się na szturm kina "Oskar", i tu okazało się, że słończko dawno już zaszło, a kino zamknięto ponad rok temu. Tyle w temacie rozwijania własnej wrażliwości na obraz, dźwięk, słowo, ekran i projektor.

Rozpocząłem czwarty tydzień służby we Wrocławiu. Wezwanie do szefa nadeszło, jak zwykle, z zaskoczenia. Zadzwo niła Halinka, *pani* Halinka, i

obojętnym, ani złośliwym, ani triumfującym, ani współczującym głosem powiadomiła, że szef, pułkownik Majski, ma chwilę czasu i chce wypróbować na mnie skuteczność działania własnych zwojów mózgowych. Dobra, dwie poprawki: w myślach nazywałem go już "Pierwomajski", to mi się ładnie kojarzyło z Tupolewem, występowało coś na kształt ciągłości mojej podległości, po drugie, nie powiedziała nic o zwojach, tylko że pułkownik wzywa mnie do siebie. To, że poćwicz na mnie swój dowcip i inne składowe inteligencji, wywnioskowałem sam.

Zszedłem na pierwsze piętro. Zastukałem. Wszedłem.

- Pan pułkownik czeka.

Halinka, ognista jak pejsachówka brunetka z liftowanym za pomocą stanika *push-up* biustem, zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem, jakby sprawdzała, czy nie wnoszę na teren gabinetu granatu albo samogonu, potem wykreśliła spojrzeniem trasę do drzwi pułkownika i powiedziała:

- Proszę poczekać. - Pochyliła się nad komunikatorem i bąknęła: - Przyszedł porucznik Stochard, panie pułkowniku.

Nie usłyszałem odpowiedzi, ale Halinka tak, bo wskazała dłonią drzwi. Może zresztą milczenie było umówionym sygnałem?

Wszedłem, strzeliłem obcasami, nie za głośno, nie za cicho, w wyważony sposób.

- Proszę siadać. - Pułkownik Majski miał gęste jak Tym brwi, a może i gęstsze, i włosy na wysokości skroni wygolone, albo krótko przystrzyżone, na czubku głowy odpuszczone, dzięki temu cała czaszka wydłużyła się nieco i to było dobre. Pułkownik był dość wysoki, ale gdyby nie dbał o siebie: pogrubione obcasy, wysmuklające marynarki, fryzura - uważano by go za pucołowatego. - Mam chwilę czasu, pan chyba też... Pogadamy...

Słyszałem już raz pułkownika. Miał dziwną, ekscentryczną i niezwykle rzadką wadę wymowy, potrafił mianowicie seplenić w sposób nieznany reszcie ludzkości. Seplenienie, czyli sygmatyzm, jest wadą wymowy, polegającą na nieprawidłowej artykulacji spółgłosek dentalizowanych, tymczasem pułkownik Pierwomajski seplenił kiedy chciał, to znaczy jakby seplenił tam, gdzie normalny człowiek nie da rady. No, bo kto może powiedzieć "golden retriever" tak, by zabrzmiało to *sygmatycznie*?! A pułkownik potrafił!

- Tak jest.

- Proszę siadać - powiedział, patrząc za moje plecy. Dotarł do mnie leciutki zapach perfum, dzięki temu nie musiałem wciągać głowy w ramiona. Nie dotarł natomiast szelest płachty plastiku... W jakim to filmie było? *Naga broń*? Facet stoi na folii, a po chwili dostaje kulkę w czerep, a folia, jak się okazuje, do tego celu była rozłożona. Kawa to nie folia... No, chyba że z cykutą. - Pan zdaje sobie sprawę?

Dziwne, ale to był koniec pytania. Dziwna wymowa, nietypowa składnia...

Skinąłem głową.

- Tak, panie pułkowniku. Zdaję sobie sprawę. Otrzymał pan zrzut, do niczego panu niepotrzebny. Jeśli mogę tak powiedzieć, to zrzut też nie wie, co z tym począć. Rozwazałem odejście ze służby, ale na razie wstrzymam się z decyzją.

- Świadczenia emerytalne i tak dalej?

- Właśnie!

Uśmiechnął się.

- Gównno tam. Nie odejdzie pan, bo to by się komuś spodobało. A mnie się podoba, że panu się to nie podoba. Powiem tak - użył znienawidzonego przeze mnie zwrotu, ale nie miał przecież o tym pojęcia - gdybym podejrzewał, że ma pan tyły z powodów merytorycznych, rozmawialibyśmy inaczej albo i nie rozmawiali w ogóle. Ponieważ jednak istnieją jakieś poboczne uwarunkowania, a istnieją? - Odczekałem chwilę, wzruszyłem lekko ramionami, potem dodałem miną, że chyba tak. - Skoro istnieją, to ja na razie nie muszę o nich wiedzieć więcej. To ja - powtórzył - nie biorę ich pod uwagę i nie biorę pod uwagę smrodu, jaki ktoś za panem ciągnie. U mnie jest pan czysty i jako taki służy. Co będzie potem - prychnął - zobaczymy.

Pani Halinka wniosła kawy: dla pułkownika w sporej filiżance, dla mnie w naparstku. Uznałem, że to bardzo eleganckie ustalenie, o wiele miłsze niż "no, to nie zatrzymuję pana" ... Dziwne, słyszałem w sekretariacie łoskot zwiastujący uruchomienie ekspresu ciśnieniowego, ale w mojej filiżance był zwyczajny rozpuszczalny *kauflander*. Nie tknąłem jej.

- Czyli będę siedział tam, na podsufitce. Długo, panie pułkowniku? - zapytałem.

Zmarszczył marsowe brwi.

- Niekoniecznie - oznajmił po chwili namysłu. - Tylko tyle, ile będę potrzebował do oszacowania, na co mi się pan i do czego przyda.

- I czy w ogóle się przydam, panie pułkowniku - podpowiedziałem w nadziei, że pofolguje sobie i przyzna, że tylko czeka na okazję, by mnie wywalić do Mszczonowa.

Jednakże w ABW nie awansują byle kogo. Nie tak jak w tym wojskowym, autentycznym jakoby dowcipie: "Przybyłem do was, żołnierze, z Szóstej Brygady, tam durni nie trzymają!". Pułkownik Majski podrapał się po lewej brwi; na tę chwilę pierwszy paliczek palca wskazującego całkowicie zaginął we włosiu.

- Przyda się pan, przyda. Na pewno. Choćby jako wzorzec... - Nie dokończył, ale zrozumiałem, co miał na myśli: zawsze można postraszyć podwładnych, że jak się nie spiszą, wylądują na podsufitce, jak ten bęcwaldek z Warszawy. - No, dobrze. Miło się gada, ale obaj mamy jeszcze dziś coś do zrobienia... Jak się pan

zaaklimatyzował we Wrocławiu? Nowe znajomości – stare znajomości?

- *Fifty-fifty* – powiedziałem.

- Jassne... No to żegnam. Za jakiś czas pewnie się znowu zobaczymy. Jak tylko... - zadumał się na chwilę - ...nadejdzie czas.

Wstałem i ściągnąłem kopyta. Skłon głowy i wypad.

- Dziękuję za kawę – powiedziałem do pani Halinki.

Spuściła głowę, zasromana. Dobrze to o niej świadczyło.

Udałem się do swojej dumnej samotni. Teczka z długą sygnaturą na okładce była cienka, jakby zawierała rozwałkowany opłatek, i nic ponadto. Ale powinienem był coś z tą zawartością zrobić.

Zacząłem robić.



# ROZDZIAŁ 3

Sukonin rzucił okiem na zegarek, wstał, przejrzał się w lustrze i ruszył do gabinetu generała. Sekretarka zerknęła na niego, nie przerywając podlewania paprotki.

- Zdrastwujtie, Nino Fiodorowna - powiedział uprzejmie Sukonin.

- *Dobryj dzień, Konstantinie Aleksandrowiczu. Gienierał was żdiot.*

Wszedł do gabinetu. Ga-Bi-Ne-Tu. Ogromne pomieszczenie, osiemdziesiąt kilka metrów powierzchni, niemal pustej, przytłaczającej pustką: dwa ogromne fikusy między gigantycznymi oknami z nieśmiertelnymi radzieckimi draperiami, na przeciwległej ścianie dwa klubowe fotele warujące przy stoliku z politurowanym blatem i najważniejsze - dwunastometrowy bieżnik prowadzący do biurka, przed którym stały dwa krzesła. Służbowe. Też model radziecki: na siedzisku i oparciu wysokiej jakości kaliko mosiężne karbowane główki gwoździ, wyglądające trochę jak ustawione w pozycji bojowej czy godowej modliszki. Dziwnie wygodne. Sekret zawierał się chyba w proporcjach i kątach, bliskich prostym, ale nie prostym. Przy mającym kształt nerki biurku, z sześcioma oldskulowymi telefonami (żadnych dziwactw w stylu przenośnego panasonica!) i malachitowym kompletem biurowym (dwa pióra, długopis, dwa ołówki, kałamarz, bibularz i mała szkatułka nie wiadomo na co - stalówki?) siedział generał Grigorij Josifowicz Jarcew. Generał był drobnym mężczyzną, o małej głowie i odpowiednio małej ptasiej twarzy, może nawet twarzyczce, ale każdy, kto się z nim spotkał i wiedział, jakiego stopnia i stanowiska się dosłużył, myślał: "Musi być z niego kawał ogromnego skurwysyna, skoro przy tak nikczemnej posturze został komendantem milicji w Sankt Petersburgu". Każdy, kto tak myślał, miał rację, z tym że nie chodziło o pospolite skurwysyństwo, a generał nie knuł, nie kłamał, nie wkładał ostrego noska między spalone pośladki wyżej usadowionych. Po prostu był organicznym przeciwnikiem przestępczości. Od dziecka. Jego wrogowie w firmie, i w ogóle w rosyjskich organach ścigania, mówili o nim (raczej cicho, prawdę mówiąc, szeptem) "pierdolony Batman, co się mści za zamordowanie rodziców".

Był też człowiekiem nowoczesnym i elastycznym. Grubo po czterdziestce zamienił notesy i kałamarze na Windowsa i teraz oprócz malachitu i polityry biurka uwagę przykuwały ogromny trzydziestodwucalowy monitor, którego ekranu petent zobaczyć nie mógł, oraz największy dostępny na rynku tablet, wpasowany w blat. Oczywiście odchylany, by nie można było podejrzeć notatek, które natychmiast lądowały na dysku i ekranie monitora.

- *Zdarowja żelaju, towarzyszc gienierał.*

Sukonin zatrzymał się zaraz za drzwiami, energicznie skinął głową, wyprostowany i gotowy do działania.

- Siadaj, Kostia - rzucił generał.

Żeby spełnić polecenie przełożonego, kapitan Sukonin musiał wykonać siedemnaście kroków. Usiadł, rozłożył na kolanach terminarz formatu A4.

- Co się dzieje w mieście?

- Nic szczególnego. Standardowe rozboje, grabieże na turystach, obrobione dwa małe banki. Nowy dowcip o glinach - zawiesił głos.

- No to zacznij od dowcipu. Dobry?

- Chyba tak. Gdzieś na wygonie, na peryferiach Petersburga, spotkanie bandytów. Merce, beemy i hummery. Nagle na plac wjeżdża zrypana milicyjna łada, wypakowuje się z niej gruby kapral w zaświnionym mundurze, poprawia portki na obwisłym brzuchu i sapiąc ciężko, lezie w kierunku zgrupowanych na środku placu zdziwionych bandziorów. Podnosi rękę do góry i drze się: "Co jest, kurna? Co się dzieje? Co to za zgromadzenie?". Najbliżej stojący goryl pakuje mu do kieszeni bluzy zmiętą studolarówkę i powiada: "Spadaj stąd, szmulu!". Kapral odwraca się, tupie do swojej łady i mruczy pod nosem: "Wiecznie jakieś sekrety..."

Generał reaguje odpowiednio. Śmieje się. Jest znanym miłośnikiem dowcipów o policjantach, milicjantach, glinach, łapsach, *mientach* i *musorach* [4](#).

- Prześlij - powiedział generał po chwili.

- Już wysłałem, towarzyszu generale.

- Dobrze. Dobry.

Na chwilę w gabinecie zapanowała cisza.

Generał pobębnił malutkimi paluszkami w blat biurka.

- A co poważnego?

Sukonin westchnął.

- Najpoważniejsze to podwójne morderstwo na ulicy Arsenalnej. Klasyka - zamordowano kochanka znanego poety i żonę tegoż, bo miał i jego, i ją. Ale mąż, ten poeta, w psychiatryku i nie śmierdzi groszem, a już na pewno nie takim, żeby zlecić morderstwo. Zwłaszcza że aktualnie jest wyznawcą, kapłanem i bogiem Aknasułem w jednej postaci. Lekarze wykluczają symulację. Najprawdopodobniejsza wersja: kobieta się komuś spodobała, bo ładna rzeczywiście, śledził ją i zabił kochanka. Potem zgwałcił, albo i nie, po czym zabił. Bo to, że przed śmiercią odbyła wielokrotnie...

- Pierdoliła się, krótko mówiąc. Dobra, prowadzicie intensywne dochodzenie?

- Oczywiście. Media strasznie gorąco podjęły temat. Posucha, więc wczepiły

się w te dwa trupy.

- Co jeszcze?

- W ostatnim czasie nic, towarzyszu generale.

- Nic, powiadasz. Wiesz, oczywiście, że Leninowi w ostatnich tygodniach życia drukowano inną niż dla wszystkich "Prawdę"? Żeby się nie denerwował?

Sukonin skinął głową i pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- No więc nie szuj mi tu *innej prawdy*... Co mamy ciężkiego?

Sukonin otworzył usta, ale nie zdążył wydać żadnego dźwięku.

- Bo ja mam. Posłuchaj. Sześć miesięcy temu. Patrol milicji w Wyborgu rozszarpany na strzępy. Dwaj milicjanci i - jak sądzą operzy - przypadkowy przechodzień pochlastani na plasterki. Ale nie nożami i nie jebaną teksańską piłą mechaniczną! Lekarze mamrocą coś o szponach, pazurach... A prywatnie jeden mi zdradził, że najbardziej pasuje mu *Tyrannosaurus rex*! Potem, sprzed czterech miesięcy, z takich nieciężkich spraw mamy zaginięcia trzech staruszek i staruszka z tego samego podwórka. Znalaziono tylko torbę jednej z nich z cięciem, jakby brzytwą.

- Grigoriju Josifowiczu... Dwie babcie zostały odnalezione - wtrącił się z pewną urazą w głosie Sukonin, że *kak to*, znalaziono tylko torbę?!

- Owszem, setki kilometrów od Pitra, przy próbie zatrzymania wykazały się potworną siłą, pobiły milicjantów, uciekały, syczały i teraz są obie w psychuszce, pod naszą obserwacją. W jednym przypadku, w Kazaniu, dyrektor psychuszki poradził sobie, sprowadzając dla niej pasy od zaprzyjaźnionego dyrektora cyrku. Pasy dla słoni z demobilu dla ważającej pięćdziesiąt dziewięć kilo staruszczeni. Dalej. Niemal jednocześnie, tyle że siedemnaście kilometrów od miejsca zaginięcia tego geropaku, ktoś wymordował całe schronisko dla zwierząt. Zwaliliśmy winę na młodych naćpanych sadystów z faszystowskim odchyleniem. Fajnie. Ale to nie oni. Zesraliby się na cztery kupki, jak mawiał mój ojciec, a nie daliby rady rozszarpać niemal sześćdziesięciu psów. Co ty na to?

- Moja babcia też tak mówiła - odważył się wtrącić Sukonin.

Pożałował natychmiast, ale już było za późno. Grigorij Josifowicz patrzył na niego uważnie, literat napisałby "badawczo".

- Mam mówić dalej? - zapytał generał.

- Tydzień później znalaziono rękę, prawą i lewą stopę na brzegu Mojki w Nowej Holandii. Zaliczam do serii, bo obie kończyny na żywca oderwane od korpusu.

- Dobrze - pochwalił go generał. - Też mam tę sprawę w swoim wykazie. A masz horror spod hotelu Astoria?

Sukonin na sekundę wzniósł oczy do sufitu.



- Dwa ataki serca i wylew. Troje staruszków: dwie babcie powalone na śmierć apopleksją, ich towarzysz - warzywny teraz - leży w szpitalu.

- *W tri pizdy kitajskowo boha duszu mat'!* <sup>5</sup> - syknął Grigorij Josifowicz. - Znowu babcie i dziadkowie! Co to jest, a? Powiedz mi, no, powiedz mi, Kostia, co to jest? Miasto dygoce, staruszkowie lżą nas i przeklinają, a oni mają, ci dziadkowie i babcie, swoich synów i wnuków, a oni, ta kochająca progenitura, ustosunkowana, bogata i bezczelna, wydzwania mi tu i łagodnie pyta, czy już nasze plemię seniorowe nie jest przez organa chronione?

Sukonin wystrzelił w generała spokojnym opanowanym spojrzeniem. Chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Sukonin przełknął ślinę i oblizał wargi.

- A jak się ma sprawa z kliniką Borody? - zapytał.

- A o co chodzi? - powiedział ostrożnie generał. - Przypomnij no mi - zażądał.

- Profesor Boroda, cztery lata temu otworzył nieopodal stacji metra Czornaja Rieczka ni to hospicjum, ni to umieralnię, ni to schronisko dla bezdomnych, biednych i samotnych. Dla zapomnianych przez Boga, znajomych i rodziny... To była druga jego "firma", bo pierwsza, dla bogaczy, funkcjonowała świetnie od dziewięciu lat. Część zysków z tej firmy szła na utrzymanie hospicjum. Boroda przyjmował każdego, komu kostucha patrzyła w oczy z bliska. Z ulicy, z domów, ze szpitali... Wszyscy byli mu wdzięczni, nawet przedsiębiorcy pogrzebowi, bo mieli towar zgrupowany w jednym miejscu. - Sukonin zerknął na regał za plecami generała. - Czyta pan Pratcheta, prawda? - Generał skinął głową. - W którymś z nowszych jest taka rozmowa: "Co mówią o tym szpitalu? Że nie wszyscy tam umierają". Czy jakoś tak. No więc ten zakład Borody miał stuprocentową umieralność. Nikt z niego nie wychodził. Jak się okazało, już po fakcie, zakład był na liście tematów komendy miejskiej, ale - wiadomo - inne priorytety, brak etatów i pieniędzy... No i fakt, że społeczność szkodli... tfu, przepraszam, szkodliwość społeczna jakby niewielka, prawda? Rodziny tych biedaków były szczęśliwe, że ich starzy z godnością i za darmoszkę przecumowali na drugi brzeg. Oni sami - cóż, ich nikt nie pytał, ale generalnie wyglądało to dobrze. Jak ktoś ma umrzeć na ławce w parku, to lepiej w łóżku, choćby nawet pokrytym jednorazową pościelą.

- A gdzie tkwił haczyk? - zapytał lisim tonem generał.

- Cały numer polegał na tym, towarzyszu generale, że on na tym nieźle przycinał - powiedział Sukonin.

- Daj pomyśleć... - Generał opadł na oparcie fotela i zabębnił palcami po klapie marynarki. - Organy to pierwsze, co przychodzi mi do głowy, ale po chuj komu wątroba Marksa czy nerki dziurawe jak sieć rybacka?

- Oczy? - podpowiedział Sukonin.

Wiedział, że generał jest w dobrym humorze, i że niemal podpuszcza go do gry w kosi-kosi łapci.

- Nie przejdzie, nie podpuszczaj mnie. Na ich oczy trzeba by założyć szkła jak dna słoików, żeby odróżnili butelkę wina od kartonu śmietany. Hm... Z drugiej strony, pamiętam, jak byłem kiedyś na fermie strusi... Wiesz, że nic z nich nie wraca do ziemi? Skóra na cholewki butów, mięso wiadomo, pierze wiadomo, rzęsy... Rzęsy, wyobraź sobie, na pędzle dla malarzy, dziób i pazury - afrodyzjaki dla Chińczyków...

- Oni wszystko mają za afrodyzjaki - burknął Sukonin.

- Z dobrym, *job ich*, skutkiem, prawda? Miliard ludzi, cokolwiek by powiedzieć... Ale nie o to idzie. Ja wtedy pomyślałem, że człowiek to się tak... marnuje... Czuję, że Boroda też tak pomyślał i znalazł sposób na lepsze wykorzystanie zdychli. Tak?

- Ciepło, towarzyszu generale, bardzo ciepło - pokiwał głową Sukonin. - Nie organy, bo z tym za dużo zachodu - sterylizacja, specjaliści, badania na zgodność, przechowywanie, zbyt i transport... - Wzruszył ramionami. - To już dużo roboty. W każdym razie organy były na uboczu jego działalności.

- Nie mów! - syknął generał. - Krew? To geniusz-sz-sz... Oż w mordę go! Pompował?

Odpowiedziało mu skinienie głowy.

- Dużo?

Drugie skinienie.

- Według naszych obliczeń w ciągu ostatniego roku niemal dwadzieścia hektolitrów.

- *Nie pizdi!* <sup>6</sup> - Po raz pierwszy od dłuższego czasu udało się komuś tak zadziwić generała, że szerzej otworzył oczy. - Przecież to stacja pomp wodnych?

- Bo to i był duży interes. Dwa-trzy zgony w ciągu doby. Firma!

Generał zamyślił się, podrapał po brodzie, przebierając szybko palcami.

- *Firma, blad', wienikow nie wiażet...* <sup>7</sup> - mruknął do siebie. - No dobra, ale dlaczego dołączyłeś tę sprawę do poprzednich? I czy są inne, późniejsze?

- Dołączyłem, bo tu też staruszkowie - powiedział wolno Sukonin, gotów w każdej chwili migiem wycofać się, gdyby nie utrafił w myślenie generała. - I tam, i tu ofia...

- Co ty myślisz, że mam obsesję starości? - obruszył się generał. Sukonin uznał, że nie powinien pchać się z odpowiedzią, Jarcew sapnął chwilę. - Nie, to się nie łączy. Tam są morderstwa, a tu cyckanie, tam nie wiadomo jaki tyranozaur rozszarpuje geriatrię, a tu cwaniak wysysa z nich osocze. Tylko. - Rzucił okiem na ekran. - Masz coś jeszcze?

- Towarzyszu generale, żebym nie zanudzał pana różnymi niezwykłymi sprawami, w stylu ucieczka Zezowatego z Pitra, dwa burdele wysokiej klasy z

nieletnimi, kradzież wycieczkowego statku, i tak dal...

- *Jatki. Masz jeszcze jatki? Co tam, nasz tyranozaur wyniósł się do Moskwy? Nie pozwolimy!* - Generał uniósł palec i pokiwał nim. - Moskwie nie oddamy nic! [8](#)

Konstantin Aleksandrowicz Sukonin, chrześniak i zięć generała Jarcewa, przygryzł dolną wargę.

- Mamy jeszcze jedną rzeź, przedwczoraj... Pięciu gówniarzy na ulicy Thaelmanna. W biały dzień, stało się to w minutę, może dwie. Świadkowie, w tym matka jednej z ofiar, widzieli z okien i z ulicy, jak chłopcy siedzieli na ławce przed blokiem. Potem coś usłyszeli, matka i dwie sąsiadki wyjrzały - trupiarnia: kilkanaście litrów krwi, rozszarpane na kawałki ciała, pourywane głowy, ręce, nogi... - Odetchnął. - Fotografie...

- Mam - przerwał mu generał. - Mów, Kostia, mów.

- Nadal nic nie mamy. Grupka blockersów zniknęła z oczu świadków dosłownie na dwie minuty i w tym czasie została rozszarpana. Pierwsza hipoteza: porachunki z innymi grupami blockersów, powód - długi, podziały terytorialne, ale najpewniejsze... najprawdopodobniejsze to dilerka, chyba ktoś chce przejąć dzielnicę i albo natrafił na opór, albo po prostu postraszył. Zastanawia mnie również ta luka w obserwacjach świadków. Kilka osób widziało ich, a potem nagle przestali widzieć. Albo nie chcą widzieć, czyli świadczyć, bo wiedzą, czym to grozi, albo doświadczyliśmy jakiejś formy zbiorowej halucynacji, inaczej mówiąc: zbiorowego zaćmienia...

- Ci gówniarze... mieli coś wspólnego z poważnymi interesami?

- Nie bardzo, niestety... W przeddzień rzezi jeden albo dwaj z pochlastanych uczestniczyli w bójce w klubie "Onion". Tłukła się Bieriezowka z Pawłowką... - Generał lekko zmarszczył czoło, Sukonin szybko rzucił: - "Onion" to cebula, towarzyszu generale.

- Głupiś. Bieriezowka to czyja, Baboczki [9](#)?

- Tak. A Pawłowka od zawsze była pod kryszej *Chamowitowo* [10](#).

- Czyli co?

- Czyli nie powinni się ciąć. Chyba że coś się zmieniło, a my jeszcze nie wiemy.

- Wykluczone! Co jak co, ale informacje mamy na bieżąco! - Generał plasnął dłonią w biurko. Chwilę przeszywał wzrokiem chrześniaka, nie widząc go. - Coś się dzieje niedobrego, Kostik, bardzo niedobrego... Czuję to. Ty nie?

Sukonin zastanawiał się chwilę.

- Naloty kruków - powiedział w końcu.

- Co? - Generał oderwał się od swoich grząskich myśli. - Co - kruki?

- O tej porze nie było ich u nas. A od dwóch tygodni mamy ich zatrzesienie,

tak mówią ornitologowie.

- Coś ty, sfiksowałaś? - Jarcew chwycił stick tableta i szybko coś zanotował na ekranie. - Widzisz związek?

- Nie. Ale zastanawia mnie ta zbieżność.

- Zbieżność między czym a czym? - podchwytliwie zapytał generał. Zawisł nad ekranem tableta, wycelował ostrą bródkę w podwładnego. - Gadaj!

- Nagłe i niespodziewane nasilenie zbrodni związanych z ludźmi w podeszłym wieku - zarówno w roli ofiar, jak i... - zająknął się. - No, ofiar... Oraz nagle pojawiły się... równie nagle pojawiły się kruki. Mnie się to wiąże w jakiś czarny niemiły splot, ale nie potrafiłbym, towarzyszu generale, wyjaśnić, co mi się wiąże, jak i dlaczego. Może to mój perwersyjny umysł podsuwa mi równie zбочzone myśli i skojarzenia?

- Czekasz, że zaprzeczę? Otóż nie, mój drogi! - Z plecami na oparciu fotela, generał końcem palca poprawił coś na ekranie. - Wiem, bo sam długo, uparcie i wytrwale pracowałem nad twoim umysłem, chcąc, by powstał geniusz sił prawa. To ja uczyłem cię kojarzenia, łączenia, segregowania i wyciągania wniosków i ufam ci teraz bardziej niż... temu tu! - Generał wskazał czubkiem brody gigantyczny monitor. - I skoro ty mówisz, że coś ci każe połączyć te dwa fakty, to ja chcę, żebyś natychmiast i w kompletnej ciszy uruchomił jakiegoś ornitoptera i niech on się zajmie krukami...

- Towarzyszu generale... - Sukonin podczas dotyczącej go przemowy siedział ze skromnie spuszczonej oczami, oczywiście, jego przełożony wiedział, że to komedia i Sukonin wiedział, że generał to wie, i umyślnie ją odgrywał. Teraz podniósł wzrok i ktoś, kto przez chwilę obserwowałby jego błaznowanie, zdziwiłby się szybkością przeistaczania totumfackiego generała. Teraz siedział przed przełożonym młody człowiek o spojrzeniu, którym można by kroić szkło, może nawet zbrojone albo hartowane. - ...ornitologowie sami się rzucą na ten fenomen, jak sępy na ścierwo krowy. Wystarczy tylko sypnąć im jakiegoś granta...

- Dobrze, sypnij. Co jeszcze?

Sukonin milczał chwilę. Potem oszczędnym ruchem podniósł rękę i potarł kącik prawego oka. Generał wiedział, że to oznacza pewne takie... zdenerwowanie podwładnego i przybranego syna.

- Towarzyszu generale... - zająknął się i zamilkł. - Grigoriju Josifowiczu... ja bym prosił o chwilę czasu. O dzień, może dwa... Chodzi mi po głowie pomysł, wierci się, przekłety, ale nie ujawnia się, a wiem, że jest... - Odetchnął głęboko i w końcu popatrzył w oczy generałowi. - Jeśli zacznę teraz mówić, to usłyszysz pan kupę bzdur, niepowiązanych ze sobą i mało sensownych, a za kilka godzin mam nadzieję na porządną konkluzję, na jakieś wątki, pomysły. Bo coś jest, jest coś w tym... - Wskazał palcem za okno.

Tym gestem jakby oddzielał generała od reszty świata kotłującego się za

murami, jakby chciał powiedzieć, że nie musi się resztą przejmować, że świat dzieli się na życie generała i reszty, że on, jak ongi batuszka-car, nie musi się przejmować resztą świata.

Jarcew odruchowo popatrzył na okno.

Milczeli długą chwilę, potem generał westchnął i sięgnął do słuchawki interkomu.

- Nino, zrób nam dwie herbatki. - Odłożył słuchawkę i wygodnie rozsiadł się w fotelu. - Posiedzimy, napijemy się herbatki, jak Rosjanie w amerykańskim filmie: z kawałkami cukru między złotymi zębami, siorbiąc na kilometr, z bielomorami w kąciku ust. - Zapatrzył się w sufit. - Ale zasłużyliśmy na taką opinię... Choćby przez to, że sami pokazywaliśmy taki obraz Rosji za granicą. Chyba nam się wydawało, że jak do krajów demokracji ludowej idzie komedia, w której sami kpimy ze złotozębnych szpanerów, to te kraje podzielą naszą opinię i też dobrodusznie ich wyśmieją. A te kraje, na ogół - tak przynajmniej twierdzą teraz - nieprzychylnie nam, chętnie przyswajały sobie te obrazy i tworzyły z nich stereotyp Ruskich: pijak, głupek, cham...

- Wiadomo, że odwaga staniała, teraz każdy pamięta, że walczył z czerwonymi, i że wywalczyłby więcej, gdyby go na czas powiadomiono, gdzie i kiedy zbierają się bojownicy - coś takiego wyczytałem w jakimś wystąpieniu polskie... - Znieruchomiał z otwartymi ustami, po chwili zamknął je, nadal bez dźwięku.

Generał nawet nie drgnął; znał takie stany swojego chrześniaka: teraz w mózgu Sukonina odbywała się historyczna gorączkowa selekcja, że sita, cały system sit cedził informacje, oddzielał, przerzucał na boki, przesuwiał, znowu łączył i przesączał, by na końcu pokazać jedno zdanie, jedną myśl, wskazówkę. Siedzieli tak, nieruchomi, dobre pół minuty.

Potem drzwi cichutko skrzypnęły i po chodniku zaczęła maszerować Nina Fiodorowna z zastawioną tacą. Generał skierował na nią ostrzegawcze spojrzenie, kobieta zwolniła, ostatnie kroki stawiała naprawdę bezgłośnie, ale to wystarczyło, by Sukonin kaszlnął, zakrztusiwszy się śliną, odchrząknął.

- No... gdzieś... - powiedział trochę ni w pięć, ni w dziewięć.

- Dobra, teraz herbatka, potem będziesz myślał.

Nina Fiodorowna wiedziała, że herbatka oznacza dziewięć torebek earl greya na osiemset mililitrów wrzątku, świeżego, "żywego" - jak mawiał generał, udzielając jej lata temu lekcji parzenia herbaty - takiego, gdy nie odrywają się jeszcze od dna wielkie bąble, kiedy woda jeszcze nie jest odtleniona, ma mleczną barwę i najlepszy smak na herbatę. Do tego celu sprowadziła cztery elektryczne szklane czajniki; cztery, żeby widzieć, kiedy woda jest mleczna i nie bać się szkła. Dwa jeszcze wylegiwały się w jej spiżarence. Sekretarka szła wolno, odliczając w głowie sekundy, niezbędne do dobrego zaparzenia herbaty. Miała to opanowane do perfekcji, zresztą, nieperfekcyjna sekretarka nie

zagrzałyby miejsca w sekretariacie generała. Przy tym wszystkim kilku oficerów organów bezpieczeństwa wewnętrznego miało swoje opinie o jej perfekcji w łożku. Grigorij Josifowicz nic o tym nie wiedział. Był – jak kiedyś powiedział do Sukonina – zwierzęco wręcz wierny swojej żonie.

Strumień ciemnobursztynowej cieczy spłynął do szklanki generała – tu był wierny rosyjskiej tradycji: szklanka w koszyczku, tylko tak pił herbatę. Druga porcja spłynęła do szklanki Sukonina, znów nieobecnego. Generał nie patrzył na niego, żeby nie spłoszyć najtęższego analitycznego umysłu w swojej parafii. Sięgnął po szklankę, wciągnął aromat i cicho upił łyk bardzo gorącej cieczy.

Sukonin sapnął ze złością.

– Ni chuja nie działa. – Potrząsnął głową. – Przepraszam, towarzyszu generale.

– Nic, nic! Nie przejmuj się, przecież obaj wiemy, że za chwilę coś urodzisz.

Pij herbatkę. – Generał łyknął znowu. Niemal czuł, jak miła doza kofeiny spływa do żołądka i po chwili magicznych biologicznych transformacji, których przebieg kompletnie go nie interesował, rozpływa się po ciele i ośrodkach rozkoszy w mózgu. – Jak tam w domu? – zagadnął rutynowo.

– W porządku, Grigoriju Josifowiczu. – Gdy padały prywatne pytania, niegrzecznie byłoby odpowiadać "towarzyszu generale", zwłaszcza że Jarcew nie dalej jak przedwczoraj był gościem rodziny Sukoninych. Generał często odwiedzał swoją córkę i chętnie bawił się z bliźniaczkami-wnuczkami. – Niestety, nie mam dla Iriny Matwiejewny dobrych wieści – lalki nadal leżą odłogiem.

Generał uśmiechnął się szeroko. Jego wnuczki, siedmioletnie brunetki o ogromnych ciemnych oczach, biegle bombardowały klawiatury dziesięcioma palcami, a lalki – ku rozpaczy babci – zalegały szafy i półki, niezmiennie czyste, uczesane, z niepomiętymi sukienkami, słowem – nieruszane od nigdy i w żadnych okolicznościach.

– Czasem wydaje mi się, że Irina już by się poddała, gdyby one choć raz w jej obecności pobawiły się tymi... – Generał nie miał dobrego zdania o Barbie i jej klonach.

– Negocjowałem. – Sukonin wzruszył ramionami. – Usłyszałem coś o pryncypiach, o zasadach, o nieokłamywaniu i oszukiwaniu dorosłych, do czego – o zgrozo! – namawia je dziadek... Tak więc, nie uzyskałem niczego.

– Dobra, urodziny za miesiąc z hakiem, babcia postanowiła pójść na całość i udać, że te lalki to nie jej robota. – Generał znacząco pokiwał głową. – Zamówiła dwa palmtopy – oświadczył po chwili.

– No? – Sukonin udał, że zdziwiła go ta wiadomość. Tak naprawdę nie zaskoczyła, wcześniej teściowa zadzwoniła i poprosiła, żeby wybrał "jakieś wypasione palmy dla moich dziewczynek". – To na pewno je zachwyci.

– A jakie wybrałeś? – rzucił niedbale Jarcew.

Sukonin westchnął.

- Proszę nic nie mówić Irinie Matwiejewnie. To miała być niespodzianka i dla wnuczek, i dla ich dziadka. - Sięgnął po swoją szklanę, herbata już lekko przestygła, mógł się jej napić normalny człowiek. - Nie wiem czemu, ale od początku wątpiłem w powodzenie tej akcji. - Wypił trzy łyki. - Odmelduję się, dobrze?

- Idź, idź. I wracaj, jak tylko coś wydumasz.

Odprowadził wzrokiem zięcia-chrześniaka-przybranego syna, wolno przeniósł wzrok na ścianę z sześcioma oknami, za którymi jednorodnym szumem informował o swym istnieniu Ligowski Prospekt. Do gabinetu docierał tylko szmer tak cichy, że mógł być imaginacją, projekcją audialną tego, co widziały oczy. Generał Jarcew dopił jednym łykiem herbatę, potem spokojnie sięgnął po termos i nalał sobie drugą szklanę jeszcze ciemniejszego naparu. Tę wypił równie szybko, albo może i szybciej, w końcu kilka stopni temperatury już uleciało. Prawą ręką wertował na tablecie swoje notatki, raporty, przerzucał albumy z dokumentacją z miejsc przestępstw. Potem uruchomił wyszukiwanie podobnych przestępstw, co zaowocowało zarzuceniem go lawiną podobnych zdarzeń. Poświęcił pół godziny na ustawienie sieci słów kluczowych: "starzec", "staruszka", "bomż [11](#)", "kruki", "rzeź", "oderwane członki", "masakra", "brutalny/a/e", "nadzwyczajna siła", "nieprawdopodobna moc/siła", "niewytłumaczalna/y", które miały odseparować przypadki nieinteresujące, sprawdził i mniej więcej zadowolony, uruchomił program trałujący. *Sistiema Uprawlenija Sobiratielnymi Dannymi* przy czterech oczkach sieci mogła pracować godzinę, przy tuzinie - do sześciu godzin. Generał Grigorij Josifowicz Jarcew westchnął, ale tak, że tylko ktoś, kto go dobrze znał, odnotowałby ten fakt. Kilka godzin czekania bez pewności, że otrzymane dane przydadzą się na cokolwiek. System, zwany przez pracowników SUSANIN [12](#) (chodziły słuchy, że sami autorzy zaproponowali taką nazwę, ale nie zgodzili się betonowe fisze), bardzo często prowadził na manowce albo przynajmniej wkurzał niezbornością wyników.

Generał uruchomił jeszcze drugą wyszukiwarę. Po chwili, widząc setki tysięcy wiadomości usiłujących wedrzeć się do jego umysłu, zrezygnował, zerknął na wolno wypełniające się w prawym dolnym rogu ekranu naczynie-wskaźnik realizacji trału i westchnął.

- Ninoczka - rzucił do interkomu - co my tam mamy na dziś, co?

- Za pół godziny *letuczka* [13](#), potem do pierwszej nic, ale mam tonę papierów. O trzynastej dziesiąt w sali galowej dwie nominacje na komendantów dzielnic.

Generał odwrócił się, odsunął usta od słuchawki, żeby nawet oddechem nie zdradzić ziewnięcia.

- Dobrze. Jak się zbiorą, daj mi znać.

Rozłączył się, tracił dźwignię fotela, oparcie opadło i włączył się masażer

pleców. Generał miał problemy z dyskiem w okolicy lędźwiowej, masował więc obolałe miejsce i myślał.



# ROZDZIAŁ 4

Zauważyłem już dawno temu, że większość posiadaczy komórek animizuje swoje mobajle: nosi je na smyczy, pieści, ubiera w futerały, jak pretensjonalne babony swoje chihuahuy we wdzianka w kratkę. Ja mam stosunek inny, moim zdaniem zdrowszy: nie czuję przed nimi lęku, nie boję się odmówić odbioru, nie rzucam się do zielonego klawisza, jakbym się bał, że w przypadku zwłoki komórka wczepi mi się przy najbliższej okazji w krtań. Wracając od Pierwomajskiego spotkałem na korytarzu Marylkę Śliczną. Nie była kobietą piękną, wbrew nazwisku, ale niezwykle sympatyczną i mało babską, cokolwiek by to miało znaczyć. Rozmawialiśmy chwilę, a ja olałem dwukrotne migotanie przedSIONKÓW – komórka w kieszeni koszuli na lewej piersi miotła się, wzbudzona sygnałem połączenia. W pokoju zerknąłem na wyświetlacz i w tej samej chwili odezwał się sygnał SMS-a. "Proszę o telefon pod numer..."

Nigdy nie oddzwaniałem na takie SMS-y. Ktoś ma do mnie sprawę, ktoś niech dzwoni.

Odezwał się drugi sygnał SMS-a: "Wiem, że nie znosisz oddzwaniania, puść pikacza, gdy będziesz wolny. M."

Em. Em jak Maria, em jak Michał... Kurwa?! Em jak miłość?!

Odczekałem półtorej godziny, potem pofolgowałem ciekawości.

- No! Nareszcie! Macie od cholery roboty, co?

Majka?... Majka.

Nie brałem tego pod uwagę, sądziłem, że Wrocławowi nie udało się jej zatrzymać na dłużej.

- Wiesz, że wszelkich informacji udziela nasza rzeczniczka prasowy?

- A udzieli osobistych? Na przykład, czy masz ochotę na odwiedzenie starej przyjaciółki...

- Maja, ja...

- ...przykutej do mieszkania z powodu złamania kości strzałkowej na snowboardzie?

- A gdzie jest to przykucie?

Jak kapitulować, to szybko. Chyba Wańkowicz powiedział coś o tym, że jak już się ma ulec, to szybko, bo i tak człowiek ulega, a tylko się niepotrzebnie uświni...

Podawała mi adres, nie było daleko, ani od pracy, ani od Kwaśnej.

- Jutro postarałbym się...

- A dziś?

- Bierzesz byka za rogi? - Uśmiechnąłem się do telefonu.

Milczała chwilę za długo. Znaczący powstrzymywała się przed czymś, co uznała za zbędne, ale co cisnęło się jej na usta.

- Po prostu - dziś siedzę sama, jutro nie, pojutrze wizyta u lekarza, popojutrze... Nie lubię. Umawianie się na za trzy dni to już przesada, to znaczy, że żadnej ze stron nie zależy na spotkaniu.

- Dobra, dziś. O której?

- Dziewiętnasta?

- Dziewiętnasta.

- Trafisz?

- Znam Wrocław jako tako.

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)



Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)